

DOLOMITY

Jerzy Mokrzycki najbardziej lubił podziwiać dolomity późną jesienią, kiedy paleta barw wysokich drzew na tle jasnych skał mieniła się obrazami kruchości. Szorstkie liście fruwały w powietrzu pachnącym próchnem starych konarów. Planeta na każdym kroku odsłaniała tutaj miliony lat, formujących powierzchnię litosfery. Każda półka skalna należała do innej geologicznej epoki. Czas ziemski nabierał wymiaru kosmicznego – i trwał niemal dotykalny w szpalerach krętych, międzyskalnych ścieżek oraz w głębokich wyrobiskach. Snuł nitki babiego lata, które przędły cierpliwe Mojry w cieplejsze popołudnia – choć były niewidzialne, czuło się ich obecność w szmerach włochatych krzaków wokół oczek wodnych, do których spadały ociążałe ćmy.

Mokrzycki mieszkał w jednej z kamienic w Tarnowskich Górach, żył skromnie z emerytury. Dawniej był referentem skarbowym w jednej z deweloperskich firm. Skromny, uczynny – ale zawsze trzymający się z boku. Nie uczestniczył w bankietach, integrujących wyjazdach czy szemranych komisjach. Ot, milczek, odludek, dla współpracowników nikt. Ale pracowity był i sumienny, więc dotrwał na swojej posiadce do samego końca. Nawet otrzymał bombonierkę na pożegnanie. Od ponad dwudziestu lat był wdowcem. Jego żona, Eliza, została potrącona przez samochód, kiedy wysiadała z tramwaju. Zginęła na miejscu. Przez wiele lat przychodziła do niego nocą przez chaszczę nieplewionego ogrodu, niosąc ze sobą koszyk z brzoskwiniami, i uśmiechała się smutno gdy wschodził księżyc. Szeptala mu, że nie obawia się już niczego. Aż niespodziewanie pewnej siarczystej zimy przestała przychodzić po puchowej, ośnieżonej ścieżce. Od tamtej pory Mokrzycki cierpiał na bezsenność. Rodzinny lekarz przepisał mu zolpingen, po którym nie śnił mu się już nikt. Nie poddawał się jednak własnej śmiertelności, chociaż jego skórę pokrywały wątrobiane plamy i czarne gruzełki. Wciąż czuł w sobie ochotę do życia. Zwłaszcza wtedy, gdy wsiadał na rower i z tarnogórskiego rynku jechał w kierunku dolomitów. Pasjonowała go geografia. W ciche wieczory zaparzał zieloną herbatę, siadał w swoim ulubionym fotelu i zaczytywał się opowieściami z dalekich krajów. W trakcie lektury odnajdywał wiele opisów, które bezwiednie kojarzyły mu się z jego ulubionym miejscem. Niedługo, w książce Richarda Brautigana pt. „Pospieszny Tokio – Montana” wyszperał następujący fragment: „W Kyoto jest buddyjska kaplica zwana Ogrodem Mchu, gdzie mech rozrasta się przybierając tysiączne kolory i formy gałązek, a każda odmiana mchu jest formą muzyki, tak idealnie czystą, że świeci jak zielone światło przed duszą. Ogród Mchu ma ponad sześćset lat, a nad mchem unosi się jak mgła mnóstwo muzyki oraz modlitw. Jest tu w Montanie niewielki kanion, który zwęża się w skalisty przełom porośnięty amerykańskimi topolami. Jesienią wyglądają jak żółty wodospad, który zdaje się przychodzić i znikać nie wiadomo gdzie”. Popatrzył wtedy na koldrę kupioną jeszcze przed ślubem. „Japońskie Kyoto i Amerykańska Montana, no proszę tak odległe, a jakże sobie bliskie. Czyż nie pasują do nich także tarnogórskie dolomity?” – pomyślał, gdy stojący między regałami, z ogromnym cyferblatem zegar, wybił północ.

Właśnie zaparzył zioła w fajansowym imbryczku i zamyslał poczytać książkę, kiedy nagle ktoś zastukał w okiennicę – najpierw nieśmiało, a potem mocniej. Mokrzycki, wycierając rękawem smuzkę śliny z warg, podszedł do okna. Otworzył je.

- Kto tam? – zawołał, próbując wypatrzeć przez szpary okiennic intruza.

- To ja, panie Jureczku... Zgrałem się do cna, a poza tym zapomniałem klucza do drzwi frontowych... Niech pan otworzy, bo nie mam jak wejść.

Mokrzycki rozpoznał podchmielony, chrapliwy głos sąsiada.

- Panie Jureczku, będzie git...

- Charczy jak sam Himilsbach... – wyszeptał do siebie Mokrzycki, kręcąc głową. Włożył szlafrok, wziął klucze i zszedł na dół. W świetle latarni zobaczył na brodzie sąsiada wyraźne ślady krwi.

- Co też się panu, panie Witku stało? – zapytał zaniepokojony.

- E tam, nic specjalnego. Podrapałem się o jakąś mierzwę.

- Mierzwę?

- No, o takich dwóch, co chcieli poczęstować mnie niesfermentowanymi winogronami...

- Czym?...

- Jabolem... Więc obrażony walnąłem tą ich flaszką o chodnik... Chyba nie ma mi pan tego za złe, co?

- Niech się pan o mnie oprze. Zaprowadzę pana do domu – westchnął Mokrzycki i mimowiednie przypomniał sobie powiedzonko Elizy: „Wraki ludzkie są jak dryfujące szczątki okrętów. Potrzebują pilnej naprawy i odpowiedzialnych sterników”. I poczuł się straszliwie samotny w opustoszałym i cichym korytarzu. Prowadził w gruncie rzeczy obcego mu faceta, o którym wiedział tylko tyle, że jest nałogowym hazardzistą. Poza nim nie miał w tej chwili nikogo.

Zatrzymali się przed odrapanymi, zapajęczonymi drzwiami.

- Panie Jureczku niech pan wstąpi do mnie! – jęknął błagalnym głosem sąsiad, wygrzebując z kieszeni klucz. – Muszę z kimś pogadać, tak mi ciężko...

- Co też pan, po nocy? – bardziej z bezradną pretensją niż z oburzeniem powiedział były referent.

- Tak właśnie. Pomoże mi pan dotrzeć do świtu.

- Głupoty pan gadasz.

- Proszę – i natrętny sąsiad złapał Mokrzyckiego za rękę, zaś ten ze sporą dozą niepewności pomyślał: „, Chociaż... właściwie co mi tam, skoro i tak już nie zasnę.”

W mieszkaniu od razu uderzył go odór wódki i zgniłego jedzenia. Chciał się cofnąć, ale było za późno. Pan Witek zatrzasnął za nim drzwi. I zniknął. Okno wychodziło na ślepe podwórze, więc panowały ciemności. Po chwili dał się słyszeć jakiś łomot. Sąsiad zaklął, po czym płomykiem z zapalniczki zapalił kilka świeczek na stole.

- Cóż robić. Odcięli mi prąd – powiedział usprawiedliwiająco, masując sobie stłuczone kolano. – Niech pan siada, o tu, na krześle...

W drgających płomykach przed oczami zupełnie stropionego referenta ukazała się istna stajnia Augiasza. Był on wyczulony na czystość i porządek, więc ten widok zabolął go wręcz fizycznie. Właściwie nic nie znajdowało się tutaj na swoim miejscu. Ubrania i jakieś szmaty walały się gdzie popadnie. Puszki z niedojedzonymi mielonkami leżały na stole, pod nim, na szafkach, a nawet w zlewie. Butelki połyskiwały w każdym kącie. W garnku pod parapetem tworzyły słynnego „jeża”, aby nie uroniła się choćby kropla alkoholu. Słoiki ze spleśniałym kompotem nie wiedzieć czemu dogorywały na półkach, między stertami gazet.

- Chwilowy bałagan – stwierdził sąsiad, widząc skwaszoną minę Mokrzyckiego. – Żona mnie porzuciła, zabrała dziecko, więc postanowiłem, że zrobię tutaj mały remoncik, ale zawsze nie ma jakoś na to czasu – i wzruszył ramionami, zdrapując z brody zaskorupiałą krew.

Mokrzycki usiadł na skrzypiącym krześle. Stanęły mu przed oczami obrazy z filmu „Pętla” Wojciecha Hasa, który oglądał we wczesnej młodości.

- Panie Witku, tak nie można. Musi się pan wziąć w garść. To, co pan robi to równia pochyła... - zaczął mówić łagodnie jak do dziecka i zaraz przerwał, bo zobaczył na drżącej twarzy sąsiada spływające ciurkiem łzy.

- A cóż ja mogę... To nałóg... Przeklęty nałóg... Hazard i wóda, wyobraża pan sobie gorszych kumpli...

- Trzeba się leczyć. Chodzić na terapię. Sam pan nie da rady.

Pan Witek machnął ręką.

- Próbowałem i nic z tego. Taki dla przykładu Dostojewski miał Annę Snitkin, co czuwała nad nim. Nie robiła wyrzutów, gdy po raz kolejny się załamał... A moja Hanka pokazała mi o tak gest Kozakiewicza i rzuciła w diabły...

- Ale Dostojewski nie pił. I, na swoje szczęście, miał jeszcze inną, o wiele większą pasję od zjadającego go hazardu - pisanie.

- Gadanie - zrymował sąsiad.

- Powinien pan znaleźć coś dla siebie - nie zraził się referent. - Jakieś hobby, zainteresowanie, cel, który da panu siłę. Mieszkamy przecież w tak pięknym mieście pełnym zabytków, kościołów, galerii, romantycznych uliczek. Na każdym kroku historia. Dawniej przyjeżdżali

do nas władcy i twórcy. Był u nas nawet sam Goethe! A teraz przyjeżdżają do nas wycieczki z całego świata podziwiać architekturę, tradycję, kulturę, aby poczuć to coś, co nazywa się genius loci...

Mokrzycki przerwał nie z powodu tego, że urwał mu się wątek, lecz ze względu na zdumione, a zarazem nieomal przerażone spojrzenie sąsiada. „Czyżby... zupełnie wytrzeźwiał?” – pomyślał. Jego rozmówca wyglądał, jakby ważył głęboko w sobie jakąś decyzję, zmagał z czymś niewidocznym, lecz niespodzianie wnet oklapł.

- Ge... genus co? – wyszeptał zupełnie załamany.

- Duch miejsca... Nasza wielopokoleniowa tożsamość, sprawiająca, że Tarnowskie Góry są jedynym miejscem na świecie.

- Pan mnie podbiera? Kpi pan sobie z mojego upadku? Co mnie obchodzi jakieś robienie wycinanek czy jakieś locja. Czy duchy popaprańców... Chce pan ze mnie zrobić głupka?... Co?...

Urażony pan Witek zaczął się nakręcać. Mokrzycki rzucił ukradkowe spojrzenie na drzwi. Już wiedział czemu unika ludzi, chociaż nie uważał się za mizantropa. Trudno im cokolwiek wyjaśnić, zaś wszelkie rady to rzucanie grochem o ścianę. Żał mu się jednak zrobiło sąsiada, nie mógł się nadziwić jego ignorancji, a mimo to kontynuował:

- Opacznie mnie pan zrozumiał, panie drogi Witku – przeszedł na ton familiarny. – Widzi pan, ja też żyję sam. Moja żona, Eliza, znał ją pan przecież, więc wie jaka to była życzliwa i wyrozumiała osoba, zginęła pod kołami samochodu. Po jej śmierci byłem na granicy obłędu. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. I po co to wszystko? Miałem poczucie, że dziura w moim sercu nigdy się nie zasklepi. Powadziłem się nie tylko z całym światem, ale nawet z samym Bogiem... – tutaj wymownie spojrzął sąsiadowi w oczy. „Wreszcie mnie słucha”, pomyślał, robiąc pauzę.

– Muszę co dnia zdobywać się na wysiłek, ponieważ uświadomiłem sobie, że przecież dalej żyć trzeba. Wierzę, iż Eliza jest wciąż ze mną, spleciona pamięcią, wspomnieniami, uczuciem, choć już nie ciałem. I wciąż, tęskniąc za nią, przypominam sobie jak bardzo kochała tarnogórskie dolomity. Jeździliśmy tam przy każdej okazji, zachwycając się nie tylko oszołamiającym krajobrazem, ale przede wszystkim faktem, że znajdujemy się na najstarszym skraju świata.

Knot jednej ze świec zaskwierczał. Targający się płomyk zgasł. Pozostał po nim jednak ślad transcendentnej światłości, która nam ludziom jawi się jako pustka. Pan Witek i pan referent patrzyli na kapiące ze stołu krople stearyny.

- Proszę mówić dalej – powiedział półgłosem sąsiad, co zabrzmiało prawie konspiracyjnie.

- Moja Eliza była bardziej religijna ode mnie. Zawsze, kiedy staliśmy już na skalistej grani, cytowała „Pieśń duszy” Hildegardy z Bingen, lamentu pełnego bólu, a jednocześnie

niezwykłej mocy... Nawet ja, zatwardziały sceptyk i agnostyk, nauczyłem się go na pamięć...
Chce pan posłuchać?...

- Panie Jurku czy to coś da?...

- Nie wiem. Spróbujmy.

- A więc proszę...

Mokrzycki odchrząknął.

- Tak modli się dusza wygnana z miejsca szczęśliwości, przez Hildegardę zwanego Syjonem: „Gdzież jestem, obca? W cieniu śmierci. Jaką drogą zmierzam? Drogą błędu. Jaką mam pociechę? Taką, jakiej doznają obcy... Albowiem miałam być towarzyszką aniołów, ponieważ jestem żyjącym tchnieniem, które Bóg tchnął w nędzne błoto... Któż mnie pocieszy, skoro nawet moja matka mnie opuściła, ponieważ zboczyłam z drogi zbawienia? Któż mnie wspomże, jeśli nie Bóg? Gdy zaś wspominam cię, matko Syjonie, ciebie, w której miałam mieszkać, patrzę na gorzką niewolę, której zostałam poddana. A gdy przywołam na pamięć wszelkiego rodzaju muzyczne instrumenty, które są w tobie, rozważam moje rany. Kiedy zaś wspominam radość i wesołość twej chwały, wtedy nienawidzę trucizny, którą zostałam zakażona”...

Zapadło długie milczenie. Na pobrużdżonej twarzy pana Witka pojawił się grymas - nie wiadomo bólu czy uśmiechu. Za oknem zaczęło świtać. Odezwały się pierwsze ptaszki. Nawet zza szyby czuło się świeże, wilgotne powietrze.

- Ma pan rower? – odezwał się nagle Mokrzycki.

- Że niby co? – zapytał skonsternowany sąsiad, któremu już od dłuższej chwili zaczęły drżeć ręce.

- Zwykły rower. Taki do jeżdżenia...

- A rower... Mam tam jakiegoś grata w piwnicy.

- Niech go pan wyszykuje.

- Po co on panu, panie Jurku?

- Nie mnie, tylko panu.

- A na cholere?

- Dzisiaj mamy sobotę. Więc jutro, w niedzielę! W radio zapowiadali pogodę.

- Nie kumam.

- Co tu kumać. Pojedzie pan ze mną na dolomity. Pokażę panu to i owo.

- Zwariował pan, ja ledwo dycham!

- O, to tym bardziej. Odetchnie pan czystym powietrzem.
- To kawał drogi – próbował wymigać się pan Witek.
- Będziemy robić sobie przystanki. Ja przygotuję kanapki i termos z herbatą.
- Ależ pan upierdliwy...

Mokrzycki wstał.

- Tak więc do jutra. Odjazd punkt dziesiąta rano.
- Pan jest gorszy niż moja teściowa... moja była teściowa – poprawił sąsiad, zastanawiając się, kiedy ostatnio jechał na rowerze.

Szprychy kół błyszcząły w słońcu. Wyjechali z tarnogórskiego rynku kwadrans po dziesiątej. Pan Witek nawet ogolił się i pachniał wodą kolońską.

W przejrzystym powietrzu biły dzwony kościoła świętych Apostołów Piotra i Pawła. Mieszkańcy odświętnie ubrani udawali się na mszę. Po kwadransie jazdy ulicą Gliwicką, znaleźli się w magicznym, rustykalnym krajobrazie. Szeroko rozłożone pola dymiły jeszcze poranną rosą. W oddali przebiegały sarny. Wyminęli czteroosobową rodzinę: tata z synkiem, mama z córką na rowerowych duetach.

- Nieźle nam idzie – zauważył pan referent z lekkością, naciskając pedały.
- A jakże... Przecież pan jest Szurkowskim, a ja Szozdą... - chciał krzyknąć sąsiad, ale zabrakło mu tchu. Trzymał się jednak nieźle, aby nie zawieść swojego kompana.
- Dobra, teraz trochę zwolnijmy.
- Pan każe, sługa musi.
- Może przerwa na herbatkę?
- Nie trzeba... Marzy mi się małe piwko z korzeniami.
- Ta, jeden kiosk, drugi kiosk, trzeci kiosk, czwarty kiosk... Tak to się zaczyna – zawtórował Mokrzycki, przypominając sobie dawną piosenkę Maklakiewicza.
- Nie narzekam... Tak tylko...

W górze odrzutowiec pruł błękitne niebo. Przed nimi na horyzoncie pojawiło się wzniesienie. Małe wykrzykniki prawie ogołoconych drzew wydawały się wisieć w powietrzu.

- O już widać Hałdę Popłuczkową, mówi się o niej Czerwona Skała z powodu kolorów minerałów, zawierających żelazo – poinformował niczym rasowy przewodnik Mokrzycki. – Tam zrobimy sobie postój.
- W dzieciństwie, zimą zjeżdżałem z niej na sankach.

- Toteż wraca pan do swoich korzeni.
- To se ne wrati – z nostalgią mruknął pan Witek.
- Nic nie ginie, tylko zmienia postać rzeczy – filozoficznie skomentował referent.

Na Hałdzie znaleźli wymoszczone miejsce pod brzozą. Wokół rozpościerał się urzekający widok. Jakby znaleźli się na bezludnej wyspie pośród pól, dawnej puszczy i skał. Lekki powiew studził im czoła, zwłaszcza panu Witkowi, który wypacał z siebie truciznę, wchłanianą przez wiele lat. Mokrzycki wyciągnął z plecaka termos, kubki oraz kanapki. Po posiłku dobrą chwilę z przyjemnością wsłuchiwali się w ciszę.

- Znakomite miejsce na jogę – zauważył referent.
- Następnym razem trzeba zabrać lornetkę!
- Widzę, że spodobało się panu tutaj.
- Ach tam, panu... panu ... panu... Witek jestem! – i sąsiad wyciągnął rękę.
- Jurek...

Uścisnęli sobie dłonie.

- Przepijmy herbatę – zaproponował referent.
- Ma się rozumieć!

I zaczęli się śmiać. Z Hałdy do Wielkiego Kanionu Tarnogórskiego było blisko. Zostawili rowery pod sosną. Powoli zbliżali się do jego krawędzi. Widok zapierał dech w piersiach.

- Jak w westernie.
- Tak! W Arizonie lub Nevadzie. Właściwie jest to wyrobisko po byłej kopalni dolomitu „Bobrowniki”. Sama stromizna ma z jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów – wyjaśnił Mokrzycki. – Chodź, teraz poprowadzę cię w miejsce, gdzie często bywałem z Elizą.

Na dnie kamieniołomu pobłyskiwało kilka stawów. Przy jednym z nich ktoś wrzucał kamyki do wody. Na jasnych skałach wygrzewała się jaszczurka. Przepaść budziła lęk, a zarazem dawała jakieś duchowe uniesienie. Przyciągała uwagę magnetyczną siłą. Mokrzycki zatrzymał się na grani, tuż nad stromą ścianą.

- Tutaj – powiedział i w tym samym momencie zobaczył sąsiada ześlizgującego się w dół. Ten zahaczył nogą o wystający korzeń, stracił równowagę i już spadłby w otchłań, gdyby jego ręki w mig nie złapał referent.
- Puść mnie, bo inaczej polecisz ze mną... - wycharczał sąsiad blady jak kreda.
- Nigdy w życiu... Po twojej prawej stronie jest szczelina w skale, wsuń w nią stopę...

Witek zrobił to, co mu kazał przyjaciel. Mokrzycki ukląkł na kolana i zaczął go powoli wyciągać. Wreszcie obaj, ocaleni, rzucili się sobie w ramiona.

- Ogłupieście!?! – usłyszeli zatrwożone, czyjeś wołanie z dołu.

- Tak!!! – wykrzyknęli jednocześnie, a echo poniosło ich donośne głosy daleko, daleko we wszechświat.

-